

22 CzasKultury 2/2011

Chłopaki. Odchodząca odyseja

mojemu Ojcu

Artur Daniel Liskowacki



Literatura młodzieżowa,
masowa. Pożywka, odżywka
dla dorastających chłopców.
Z kwaskowatą witaminą,
ale słodko pachnąca
dydaktyzmem.
Troszkę pobudzająca,
ale osłabiająca popęd.
Každy – płciowy, życiowy.

Nigdy nie chciałem napisać powieści dla młodzieży. Powinienem dodać: tak zwanej powieści dla młodzieży. Ale niby dlaczego: tak zwanej? A dlatego właśnie, że tak ją nazwano. Termin funkcjonuje zresztą w przestrzeni krytycznoliterackiej, przykurzony dziś wprawdzie, umarły jak rzecz, którą opisywał. Którą ma opisać. Ale wciąż dobrze znany, rozpoznawalny.

Powinienem więc go użyć tym bardziej. Tym bardziej że moje opory wobec literatury dla młodzieży, powieści młodzieżowej, wynikały z tego właśnie – gdy mogłem jeszcze o niej myśleć jako o projekcie realnym, możliwym do wykonania, a też i oczekiwanym przez wydawcę – że jest „tak zwana”. Bo tak zrobiona. Na zawołanie, na zamówienie. Można nawet rzec: społeczne, a edytorskie na pewno.

Pisało się „młodzieżówki”. Bo miały wzięcie. Bo była w tym i wymierna finansowa korzyść (dla obu stron zresztą – dla wydawnictwa i autora), i szybka, sprawdzalna nakładami satysfakcja. Popularność z epoki raczkującej popkultury.

Literatura młodzieżowa, masowa. Pożywka, odżywka dla dorastających chłopców. Z kwa-

skowatą witaminą, ale słodko pachnąca dydaktyzmem. Troszkę pobudzająca, ale osłabiająca popęd. Každy – płciowy, życiowy. Przytępiająca naturalną agresję. A z nimi inteligencję, wyobraźnię. Które są wypadkową wszystkich popędów. Ich sublimacją twórczą, więc i trochę bolesną.

A tu: książka dla chłopców. Co každy chłopiec wiedzieć powinien. Czytaj z latarką pod kołdrą zamiast się onanizować.

Bez względu na to, czy to Niziurski, czy Bahdaj, Nienacki czy Minkowski, Woroszyłski czy Liskowacki. W tle zawsze się jawił jakiś Makarenko, Gajdar. Jakiś poemat pedagogiczny. Timur i jego drużyna. Zastęp, paczka, grupa, banda, związek.

A przynajmniej jakaś użyteczność. Czasem z gatunku: poznaj swój kraj, czasem z kategorii: jak postawić namiot. Jak rozpoznać tygrysa bengalskiego, złapać złodzieja albo bakcyła ojczystej historii, być grzecznym dla koleżanki, zrozumieć dorosłych, polubić nauczycieli, przeżyć w lesie nocą. Poradzić sobie ze światem, z dwójką z polskiego, z klasą, która jakoś nie twoja, a przecież Nasza (jak się okaże po latach, w innej rzeczywistości). Z tym, że się nie ma na kino, na bilet do Ameryki, że się nie umie pływać, bić z tymi, co się bić potrafią. Z tym, że się ma ideały (głupie i staroświeckie? Ależ skąd!) i marzenia (naiwne? Ależ skąd!), szalone pomysły, niemożliwe spodnie, rude włosy, trądzik albo nadwagę.

Nie bez kozery specjaliści od literatury młodzieżowej – w tekstach o niej, a jeszcze dobitniej w recenzjach wewnętrznych, wydawniczych – obowiązkowo podkreślali jej walory wychowawcze. Czy też wskazywali właśnie na niedobór walorów wychowawczych, co było naganne, osłabiało wartość takiej powieści.

Użyteczne powinno być wychowawcze. Wychowawcze musiało być użyteczne.

Użyteczny mógł być także humor, niechby i wychylony w groteskę, abstrakcyjny. Czemu +

24 CzasKultury 2/2011

nie, proszę bardzo, młodzież musi się wyśmiać, odśmiać. Turlaliśmy się ze śmiechu po tapczanach, czytając komiczne dialogi, powtarzając nazajutrz w szkole przezabawne, kwieciste, tak różniące się od szarej codzienności kwestie i przypominając sobie piramidalnie śmieszne, odrealnione sytuacje z naszych ulubionych powieści. Dobra powieść dla młodzieży musiała być – i była – dowcipna.

Użyteczne były też przygody oczywiście, bo z przygód zawsze wynika jakaś pożyteczna nauka. A że te niewiarygodne przygody miały zdumiewająco prosty mechanizm? Dosłownie kilka wariantów napędzania akcji, parę narratorskich chwytów, schematów fabuły? Tym lepiej. Świat rozpoznawalny łatwiej polubić. A to była literatura do lubienia. Do identyfikacji, akceptacji.

Miała być dla nas, a więc była nasza. Bo dla młodzieży, ale i młodzieżowa. Fajna. Słowo, które zanika. Znikło prawie, jak i ona. Ale właśnie w tym, że była fajna, czułem już wtedy – jako jej odbiorca (mimo zachwyty i frajdy z lektury) ton protekcji. Kumpelski, przypochlebny wobec młodzieży, a w istocie przykry, lekceważący. Później, gdy sam zacząłem pisać i wydałem swoje pierwsze książki dla dzieci, ciążyła mi myśl, że pisząc „młodzieżówkę”, popadnę w ten sam ton. Będę równie protekcyjny wobec tych nowych, młodych, którzy przecież będą musieli czuć to samo, co ja kiedyś. Wybrałem baśń. Wydała mi się prawdziwsza. Uczciwsza w swej umowności i archaicznym sztafażu. Inaczej niż powieści dla młodzieży, w których brakowało mi poza tym magii, poezji.

Wiadomo, użyteczne nie może być zawieszane w chmurach. Chłopcy pisujący wiersze, pojawiający się czasem w powieściach dla młodzieży (w Związku Sprawiedliwych Ryszarda Liskowackiego pisywał wiersze Jegiełło, notoryczny błagier), są zwykle przedmiotem żartów reszty chłopców.

♦

Wiem, przesadnie heroizuję, dowartościowuję intelektualnie swoje młode, autorskie wybory, literackie strategie. A było w nich, co było. A może nawet i mniej.

Wiem, upraszczam, przypisując cały ten pożytecznie-użyteczny cynizm, rzemieślnicze wyrachowanie wszystkim autorom, całej literaturze młodzieżowej. Ale jeżeli była taka literatura – a przecież była, i to bardziej niż inne, autentyczniej niż te wszystkie nurty wiejskie czy prozy marynistyczne, sztucznie dęte podgatunki, była prawdziwiej, bo ze świadomością, że jest chciana – to znaczy, że był jakiś wspólny wzorzec. Stwarzający ją, stanowiący, utrwalający w tym kształcie. Jednoczący wobec reszty literackiego świata. Często zresztą – prawie zawsze – było to kłopotliwe dla zjednoczonych w niej autorów. Mówiono, pisano o nich: pisarze dla młodzieży. Tonem jawniej i dobitniej protekcyjnym niż ten, który sama przybierała wobec odbiorcy.

Znamienne, że książki dla dzieci, baśnie można było pisać równoległe z poematami, opowiadaniem, prawdziwymi powieściami dla prawdziwie dorosłych. Pisarzem się przez to być nie przestawało. Przeciwnie. Natomiast pisanie powieści młodzieżowych pociągało za sobą konsekwencje. Ciągnęło w dół. Wspólny. Zasobny, lecz osobny. Przyklejała się etykieta, którą z trudem dawało się – i niewielu się to udawało – odlepić.

♦

Wracając do wzorca: jeśli był, musiał być i cel, któremu miała służyć. Każda. Lepsza i gorsza. Ta bardziej swoja i ta ze sztancy.

Nigdy nie chciałem napisać powieści młodzieżowej. Zawsze z tego samego powodu. Z tych wszystkich powodów.

Dlatego więc nie chcę dziś napisać, że była to

Za pruderią języka
literatury młodzieżowej
stała pruderia epoki –
ustroju, który był grzeczny,
ubrany w harcerski
mundurek albo
w granatowy
fartuszek ucznia.

literatura tak zwana? Tak zwana powieść dla
młodzieży?

Może dlatego, że nie umiałbym – już wtedy,
a tym bardziej teraz – takiej powieści napisać.
Bo już była. Przede mną i po mnie.
Może dlatego, że była. Że byliśmy.

•

Bohaterami powieści dla młodzieży – tych,
które wówczas czytaliśmy (wtedy, kiedyś, tak
niedawno, w innej epoce) my wszyscy, my
chłopcy – byli oni, chłopcy. Jeśli w powieści
występowały dziewczynki, to po to, by chłopcy
byli bardziej. Chłopięcy. Chłopaccy raczej.
Chłopaki – mówiło się. Chłopaki. Było słowo.
Byłe słowo.

Chłopaki, pójdę z wami. Ktoś to przeniósł, po
latach, do chłopackiej (gorzką melancholią pod-
szytej, autoironią przenikniętej) piosenki. Adam
Kreczmar? Sprawdzam: Jan T. Stanisławski.
Ale to Kreczmar napisał Chłopaków z naszej
ulicy. Chłopakie Pożegnanie z Ojczyzną.

Dziś chłopcy nie mówią: chłopaki, pójdę z wa-
mi. Dziś mówią raczej: panowie, kurwa, po-
czekajcie. Oczywiście, jeśli chłopcy są chłopaka-
kami, bez względu na wiek. Również i wtedy,
gdy o tym nie wiedzą, chociaż nimi są. Chyba
są. Jeszcze są. Jeśli zawsze byli.

Jeżeli nimi nie są, mówią do siebie jeszcze ina-
czej. Lub w ogóle do siebie nie mówią. Nie
mówią do siebie, żeby się sobie nie wydać

chłopcami, chłopakami. Żeby się sobie wzajem
nie wydać chłopakami – nie ma gorszego poni-
żenia, przyznania się do słabości (co skądinąd
zawsze było klęską chłopaka) niż być chłopaka-
kiem wśród swoich – nie mówią do siebie, lecz
szczekają, wyją, szczerzą się, wrzeszczą, war-
czą, charczą. Milczą. Chuj w dupę wszystkim,
którzy mówią, mówią. Zwłaszcza kiedy
chłopców jest więcej niż dwóch. We dwóch to
jeszcze. Ale we trzech już nie. Trzech to już
grupa, stado. A w stadzie nie można sobie po-
zwolić na to, żeby być słabszym, innym. Inny,
każdy inny, jest w stadzie słabszy.

Chłopcy z powieści dla młodzieży mówią. Jak
chłopcy. Chłopaki. Dialog składa się z pytań
i odpowiedzi. Rozmowa służy wyjaśnieniu
wątpliwości, odkryciu tajnych zamiarów prze-
ciwnika. Rozmowa służy rozwojowi akcji, ak-
cja rozwija się jak mapa tajemniczej wyspy.
Słowa są grzeczne, bo użyteczne. Nawet gdy
wesołe.

Literatura młodzieżowa nie zna właściwie
przekleństw. W którymś z filmów Barei – bo-
dajże w Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz – za-
chowało się drwiące echo tej normy. Kpina nie
z samej powieści dla młodzieży, ale z telewi-
zyjnego serialu dla młodzieży, który był jej na-
turalnym dzieckiem, chłopcem właśnie – a do-
kładniej może: z telewizyjnego programu dla
chłopców (proweniencja to zresztą ta sama).
Gładko męski Wujek Dobra Rada (w tej auto-
ironicznej roli – nie bez kozery – Stanisław
Mikulski), ktoś w typie Pana Samochodzika
skrzyżowanego z Kapitanem MO, pomaga
chłopcom okiełznać niewyparzony język ich
kolegi, który posługuje się ordynarnym prze-
kleństwem „Motyla noga!”.

Oczywiście, za pruderią języka literatury mło-
dzieżowej stała pruderia epoki. Ustroju też, ale
czas i bez ustroju był grzeczny, ubrany w har-
cerski mundurek albo w granatowy fartuszek
ucznia. W dzinsach (dunkrach, jak się mówiło
na namiastkę dzinsu), które zjawiły się właśnie +

26 CzasKultury 2/2011

W powieściach dla chłopców
przeklina się malowniczo
i opisowo, fantazyjnie,
dowcipnie i oryginalnie.
Ale przede wszystkim
łagodnie, niewinnie.

wtedy, też było coś z mundurka. Zbuntowanego trochę, luźniejszego, ale młodzieżowego przecież.

Tamta pruderia, jak zresztą pruderia każdej epoki i każdego ustroju, nie tolerowała w literaturze – więc tym bardziej w młodzieżowej literaturze – języka wulgarnego, języka ulicy. Chłopcy nie mogli do siebie mówić: „Odpierdol się”. W powieści nie mogli. Bo w życiu, oczywiście, mówili. Mówiliśmy. Zgoda, nie tak jak dziś. Tak po prostu, tak byle jak. Tamte brudne, mocne słowa miały wtedy jeszcze smak zakazanego owocu, czuło się od nich kwaśno-cierpki odór dorosłości. Miały znamiona odstępstwa, brutalnego święta. Znaczyły, niosły ze sobą siłę, przewagę. A także i sprzeciw, bunt.

Mówili zresztą nimi i ci przed nami. Pamiętam zachwyty odkrycia, gdy znalazłem (znaleźliśmy) w Kolumbach Bratnego jakiegoś „niech pan się odpierdoli, panie poruczniku”. Czy jakoś podobnie. Nic dziwnego, w końcu Kolumbowie to powieść o chłopcach. Którzy musieli przestać być chłopcami. I właśnie dlatego nimi przestać być nie umieli. Nie chcieli, więc przegrali. A może wygrali właśnie? Niewiele, ale sporo, swoją chłopacką wieczność?

W książkach dla młodzieży takiej wolności dla chłopców – dla ich języka – być oczywiście nie mogło. Choć Kolumbowie niewiele byli starsi od bohaterów książek dla młodzieży, która dojrzewała po wojnie. A czasem miała jeszcze wojnę we krwi (dosłownie, w powieściach mojego ojca chociażby, dziejących się tuż po niej albo i podczas wojny, gdzie była krew nie tylko z rozbitego nosa).

W powieściach dla chłopców – o chłopcach, chłopakach – przeklina się malowniczo i opisowo, fantazyjnie, dowcipnie i oryginalnie. Ale przede wszystkim łagodnie, niewinnie. Wybuchy złości – nawet u bandyty, groźnego przestępcy, ponurego łobuza – nie mają w sobie nic z dosłowności, banalnej i bezpośredniej, nasyczonej przemocą. Żadne tam „cholera!”, może co najwyżej „psiakość!”. Tak to przynajmniej pamiętam. Nawet jeśli to pamięć wybiórcza – wybrała to, co zdawało się normą.

Jako chłopiec nie napisałem – nie próbowałem nawet, chociaż grafomanem bywałem wówczas zajadłym – niczego, co by mogło być echem powieści dla młodzieży, żadnej wprawki w tej mierze, żadnej młodzieńczej namiastki gatunku, którego byłem przecież zagorzałym odbiorcą. Ale narysowałem kiedyś komiks – stanowiący kopię jego schematów. Groźny przestępca klnie w nim z rozmachem: „Kurdemol niebiański!”.

Był w tym, zapewne, jakiś żart z konwencji. Ale w jakim stopniu przeze mnie samego siebie uświadamiany? A w jakim akceptujący tę zasadę? Że zło jest – musi być, aby było do przyjęcia w książce dla młodzieży – zabawne, przerysowane. Pozbawione prawdziwego wyrazu, swojego surowego, twardego języka.

Łagodny, a czasem piętrowo groteskowy język bandytów, którzy byli przeciwnikami chłopców z powieści, bywał zamierzonym (na ogół) unikiem wobec okrucieństwa rzeczywistości, z której się wywodziły czarne charaktery. Można by go tłumaczyć celowością formy –

stanowiącej niekiedy parodię, a przynajmniej pastisz powieści kryminalnej, sensacyjnej. Której – notabene – rynek odczuwał brak. Aż do późniejszego wysypu Ludlumów, którym się tak nasycił, że się nim w końcu zatkał.

Ale co zrobić z językiem chłopców, naszym językiem? W jaki sposób przenikał do tych powieści?

W jednej z nich (nie pamiętam już czyjej, jakiej) trafiłem – jako nastolatek – na okrzyk: Owa! Wyraz chłopackiej wzgardy, wyniosłości i kpiny, a zarazem rodzaj przeczenia. Aristokratyczno-grubiańskie odęcie ust, w którym był też i ton przekleństwa. Smakowałem wtedy owo „owa” z niedowierzaniem i złością, że tak odległe od codzienności, i z zazdrością, że tak cudze, aż chce się je ukraść. Mieć za własne. I mieć za swoje, że się tak nie ma.

Nie znałem nikogo, kto by mówił „owa!”. Choć moi koledzy to byli chłopcy. Choć wszyscy byliśmy chłopakami. I czytaliśmy powieści dla młodzieży. Którą byliśmy. A przecież nie. Zupełnie nie. Nie my. Tamci chłopcy z książek byli inni.

Czy zresztą nie stąd wynikało to moje niepisanie za młodu powieści młodzieżowej? Że ona była o nas, a nie była nasza? O wiele bardziej nie była nasza niż wszystkie czytane przez nas powieści o Indianach, Dzikich Polach, prawdziwych detektywach?

Powieści dla młodzieży pisali dorośli. Dając to – nam – do zrozumienia. Swoją dorosłość, odległą, wysoką. Później, kiedy już mi się wydawało, że jestem dorosły, miałem do nich o to największą pretensję. Że pisali je tak, jakby zawsze byli dorośli. Tak wtedy myślałem. Że kłamali. Kiedy zacząłem myśleć, że dorośli kłamią.

♦

Jeszcze o dziewczynkach (dziewczynach) z powieści dla młodzieży, czyli dla chłopców (chłopaków). Symbolicznie, modelowo wpisu-

je się w tę formułę tytuł książki Hanny Ożógowskiej: Dziewczyna i chłopak, czyli heca na czternaście fajerek. Sama jej formuła zresztą też: kto tu jest chłopakiem, kto dziewczyną? Nie wiadomo. To znaczy wiadomo, że bywa na odwrót.

Dziewczyny w powieściach dla młodzieży były fajne. Nie tylko dlatego, że to były fajne książki. Również dlatego, że dziewczyny były w nich podobne – starały się być podobne – do chłopaków. A nawet fajniejsze od nich. Tym bardziej fajne, im bardziej chłopcy uważali je za baby. Czyli za dziewczyny. Dziewczyny musiały więc udowodnić, że nimi nie są. Że są lepszymi chłopakami.

Dziewczyny z tych powieści to chłopczyce. Grają w piłkę („grałam w piłkę tak, jak taka panna gra” – piosenka, echo echa, tamten świat odbity w świecie, którego już także nie ma, młoda Urszula Sipińska, dziewczyna o jasnych włosach, romantyczna, prosta, jak tęsknota za tęsknotą), łążą po strychach i piwnicach, i nawet jeśli niechętnie bawią się w policjantów i złodziei, to gdy przychodzi co do czego, tych prawdziwych bandytów (prawdziwych w powieści) i tak łąpią lepiej niż chłopcy. Bo są sprytniejsze od nich, śmielsze, a gdy trzeba, nabierają bandytów na swój dziewczęcy urok. Urok, fałszywy wizerunek.

Często też – w toku wydarzeń – stają się przywódcami (uwaga: nie przywódczyniami!) grupy chłopaków. Okazując się od nich również mądrzejsze. Choćby i o tę wiedzę, że nie tylko spodnie czynią chłopaka. Dziewczyny w sukienkach – stając się chłopakami – zyskiwały zresztą w ten sposób prawo do bycia dziewczynami. W których już mogli się – bez wstydu – zakochać chłopcy.

Delikatna, mimowolna chyba perwersja takiej miłości. Czasem się ją wyczuwa, jak woń nasienia z dobrze wypranej bielizny.

+

28 CzasKultury 2/2011

♦

Powieści młodzieżowe dla dziewczyn były inne. Schemat pościgu, rywalizacji dwóch grup, chwytania złoczyńcy zastępowały w nich jawniej widoczne sprawy między dziewczyną a chłopcem.

To były książki bliższe życiu. Codzienności. Choć ich oderwanie od rzeczywistości było przez to – paradoksalnie – większe. W tych romansach dla nastolatek – a czytanych często i przez nas, nastolatków, ukradkiem, z zazdrością, choć i z niedowierzaniem, że taki świat istnieje – pojawiała się psychologia postaci, problemy wieku dorastania, załázky erotyki. W porównaniu z książkami dla chłopców wydawały się dojrzalsze, prawie dorosłe (choć miały swe odpowiedniki w książkach dla chłopców – na przykład interesujące i poważne w tonie powieści Domagalika, niektóre Minkowskiego – to różniły się od nich klimatem, obyczajowością). Ale przecież drażniły, irytowały wyidealizowanym obrazem romantycznej, a zarazem nowocześniejszej nastolatki, jej otoczenia, rodziny (w której niedorośli chłopakiem bywał często ojciec albo brat), powierzchownym ujęciem uczuciowych problemów.

Zaspokajały dziewczęcą wyobraźnię i potrzeby, ale nie były młodzieżowe. Nie tak.

Dziewczyny czytały więc też (i też ukradkiem, ale bez tego zakłopotania, jak my – powieści dla nich przeznaczone) książki dla chłopaków. O pościgach, skarbach i bitwach na podwórzu. Miały łatwiej. Nie musiały się porównywać do bohaterów tych powieści. Brać z nich wzoru ani się załamywać, znajdując różnicę. W porównaniu z tym, jakie są. Nawet wówczas, gdy bohaterkami owych książek były zwycięskie, dzielne chłopczyce. Zwłaszcza wtedy. Tamte fajne dziewczyny grające w nogę i łapiące złodziei pozostawały przecież tak daleko od ich życia, że nie mogło być mowy o zwierciadle – ani o srebrnym, ani o krzywym.

Mogły czytać te książki tak, jak się czyta ciekawe książki. Z ciekawością. Która nie jest wyzwaniem. Odwagi. Ani próbą. Siły. One były gdzie indziej.

Tak sobie myślę, chłopak po latach.

Wiem, że tamte powieści dla dziewcząt zachowują wciąż smak dojrzewania i że w ich schemacie odnaleźć by się mogły i współczesne nastolatki. Słyszałem zresztą, że wraca się dziś podobno (że one wracają – te nowe, młode, dojrzewające może wcześniej, a w istocie tak samo głupio, niewinnie, pięknie) do Siesickiej, Snopkiewiczowej. Widać nie wystarcza im rosnąca wciąż fala tej literatury, co nigdy w życiu, powracająca różowa fala o woni harlequinów, ponowoczesna podróbka pensjonarskich westchnień. Bijąca seriami z wisienką, dziewczynką, która stała się singielką, małżonką, rozwódką, wyzwoloną młodką po czterdziestce.

To zastanawiające, że powieść dla dziewcząt przemieniła się masowo w powieść dla kobiet – śmielszą, bezwstydną, nie tylko obyczajowo, ale i w wyrafinowanych grach formą, w używaniu sobie na formie – natomiast powieść dla chłopców – ta prawdziwa powieść dla młodzieży – nie ma kontynuacji.

Bo nie jest nią – na przykład – powieść sensacyjna. W powieści sensacyjnej, kryminalnej, męskiej – bohater jest sam. Zawsze sam. Samotny samiec.

W powieści dla chłopców bohaterowie są razem. Ich świat istnieje dlatego, że jest światem wspólnym. W rywalizacji wewnętrznej, ale i wobec innego, wrogiego świata. Chłopaki, pójdę z wami.

♦

Powroty do literatury spod znaku powieści dla dziewcząt są więc – tak czy inaczej – możliwe, a że są także pożądane edytorsko (wciąż jeszcze) – podtrzymują wątły rynek książki (pre-

cież czytają tylko kobiety, to niech sobie czytają o sobie).

Ale przecież, myślę sobie (moje „sobie” jest tu chłopakiem), przy tym wszystkim – jednak – to musi być przepaść. Między tamtym życiem, „zapalek na zakręcie”, a tym dzisiaj. Bo to dziś za żywe, zbyt prawdziwe, aby dało się wyjaśnić, wyśnić schematem. Więc i w tej dzisiejszej powieści dla przekwitających dziewcząt narasta wewnętrzne napięcie – między formą a treścią. Między nigdy w życiu a zawsze w życiu. Stąd te nieustanne, coraz energiczniejsze próby zasypywania przepaści, zarzucania jej – w odpowiedzi na zarzuty, że daleka od rzeczywistości, że cwaniacko, paskudnie fałszywa – opowieścią coraz dosadniejszą, rzeczywistością coraz cięższą.

Czytałem niedawno o pewnej nowej polskiej komedii romantycznej. Skądinąd warto się przyjrzeć zbitce pojęć, którą się określa ów popularny podgatunek. Komedie romantyczna. Akcent przesunięty z romantyzmu na romans, lecz i romantyki w tym coraz mniej. Maryle odfruwają na swych białych sukienkach i wiadać, że nie mają nic pod spodem albo noszą stringi. Komedie romantyczna to filmowy odpowiednik powieści dla dziewcząt. W tej, o której czytałem, elegancka pani, starszająca się dziewczyna po czterdziestce, przeżywa głęboko miłość analną.

To jednak przepaść. Między Jeziozem osobliwości a osobliwością współczesności, w której wszystko jest naturalne. Suplement diety i aerobik, kiełki pszenicy i szaleństwa macicy.

Tymczasem tamto chłopackie, chłopięce, oderwane od życia nie może być przecież od niego oderwane bardziej niż wtedy. Tajemnicze zamki, zamaskowani przestępcy, mecze piłkarskie niby wielkie wojny, boje o królowanie na ulicy lub na wyspie – to świat, którego nigdy nie było, więc go tym bardziej nie ma. Może dlatego zawsze można do niego wrócić. Można?

♦

Nie mogę sobie poradzić z tym tekstem. Pretekstem może. Do mnie? Do niego, mojego ojca? Do nas obu?

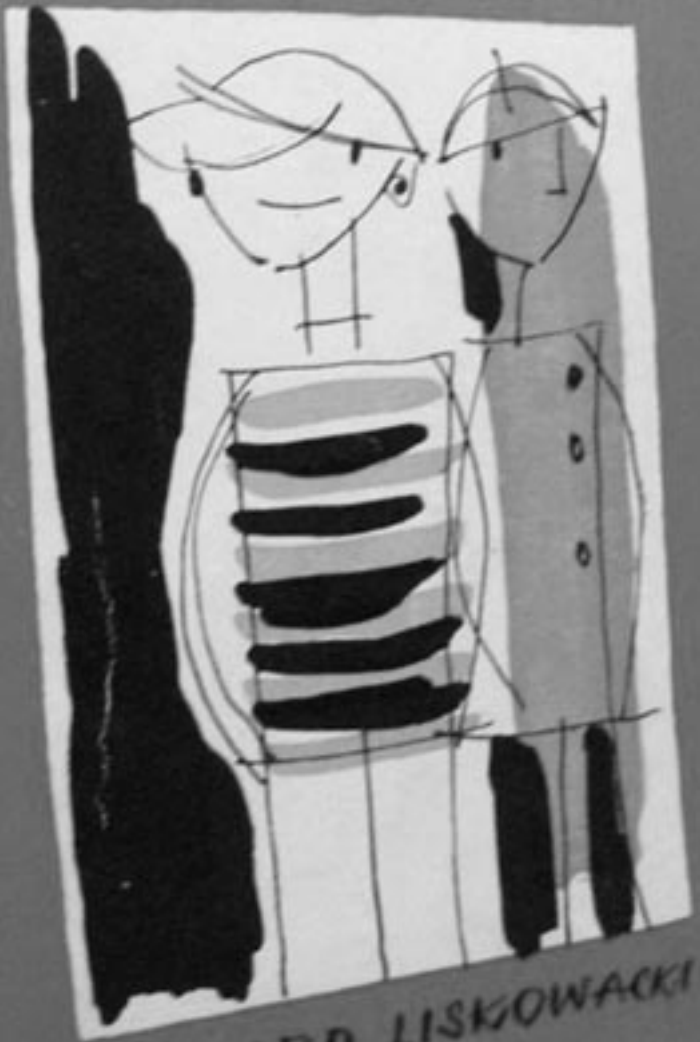
Jeżeli kiedyś taki tekst napiszę. Bo powieści młodzieżowej jednak nie. Bo nie potrafię. Ani napisać, ani tego chcieć. Bo nie ma dla kogo. Nie ma komu chcieć. Bo nas nie ma. Chłopaków. Bo się wstydzimy, że jesteśmy. Tacy byli. Bo tacy byliśmy, jednak?

Lekko zażenowane, ale coraz śmielsze, oldskulowo modne poszukiwania w internetowych antykwariatach, ale bardziej w pamięci, w przyznawaniu się do siebie sprzed lat. Hej, jakie książki czytałeś w młodości? Twój ulubieni autorzy, urwisy, kluby włóczykijów, podróże za uśmiech, wyspy złoczyńców (nie zboczeńców, jak żartowało się przekornie) i wodzów, którzy na nie powracają. Coś się pamięta, wiele się zapomniało, mantra paru nazwisk, kilka tytułów, które się mylą, krzyżują. Nicują. Bo przerobione zmieniają się w nic. To chyba Niziurski próbował – po wielu latach – powrócić do tej przeszłości, która go wykreowała na jednego z najpoczytniejszych i najbardziej lubianych wśród tych poczytnych i lubianych. Ale jego nowe książki dla młodzieży nie odniosły sukcesu. Bo nie zastały już tych, do których miały trafić? Tu, na miejscu? Czy może to miejsce nie było już (jeszcze) na nie gotowe?

A jeśli to nie Niziurski, ale ktoś inny? Nieważne. Bo nie stało się ważne. Bo ważne zostało w tym, czym było. Wciąż jest?

Pamiętam gorzkie skrzywienie ust i zniecierpliwienie ojca, gdy ktoś – przy jakiejś okazji medialnej, gazetowej – krótką notą przypominając jego dorobek, przytaczał przede wszystkim, a czasem jedynie, tytuły jego najpopularniejszych powieści dla młodzieży. Co by powiedział na to, że po jego śmierci, gdy internauci zapalali w sieci symboliczne znicze, tak często +

Zwiazek
SPRAWIEDLIWYCH



RYSZARD LISKOWACKI

powtarzał się przy nich tytuł, będący wówczas frazą pożegnania: Wodzu, wyspa jest twoja.

Jaka wyspa? Jakaś tutaj czy bardziej tam? Już tylko tam.

Łączny nakład jego książek dla młodzieży wyniósł ponad półtora miliona egzemplarzy. A przecież Ryszard Liskowacki nie był w gronie tych poczytnych tym najpoczytniejszym, najczęściej wydawanym i wznawianym. Nakłady Niziurskiego, Nienackiego musiały iść – tak sądzę, tak liczę – w dziesiątki milionów.

Warto pamiętać o tych liczbach. Zwłaszcza że mowa tu – że ja tu mówię – o postępującej niepamięci.

♦

Nie mogę sobie poradzić z tym tekstem, bo zacząłem od zaprzeczenia. Od swojej niezgody na niezgodność powieści dla młodzieży z młodością. Z życiem.

Ale przecież był to retoryczny zabieg, z którego powinienem elegancko, w miarę zręcznie przejść w trakcie wywodu do zaprzeczenia mojemu zaprzeczeniu.

Bo przecież było tak. Że w którymś momencie zrozumiałem, iż moja niechęć do konwencji powieści młodzieżowej brała się stąd, że odrzucałem właśnie jej konwencję. Że nie przyjmowałem jej do wiadomości. Że uważałem ją za wiadomość zakłamaną. Nie uważałem jej natomiast za konwencję.

Tymczasem, jeśli tak sprawę stawiać, między konwencją Bahdaja czy Woroszylskiego a konwencją książek dla dzieci, baśni, opowieści mniej czy bardziej fantastycznych, nie ma właściwie różnicy. Wobec czego nie powinno się stawiać zarzutów (jeśli się je stawia z tej perspektywy), że – nomen omen – Stawiam na Tolka Banana albo I ty zostaniesz Indianinem, albo Pan Samochodzik i templariusze, albo Niewiarygodne przygody Marka Piegusa to – znów nomen omen – książki bardziej niewia-

rygodne niż Muminki, Czarodziej z Oz czy Pionokio.

Może więc, gdy uciekałem w baśń (Balbaryka i Złotą piosenkę kończyłem pisać w początkach stanu wojennego; w recenzji wydawniczej – pół żartem, pół serio – radzono mi, bym zmienił imię jednego z ptasich bohaterów, gawrona w okularach, który zwał się Wron) – wybierając ją zamiast powieści dla młodzieży – więcej w tym było ucieczki niż wyboru? Więcej złudzeń niż sensu?

Jasne. Baśniowe zwierzątka mogły żyć w swoim fantastycznym świecie, a chłopaki z powieści dla chłopców głupio by się czuli na ulicach, po których chodziły patrole ZOMO, gdyby mieli się bawić w wojnę lub pościg za przestępcą (na przykład roznoszącym ulotki?).

Nie bez kozery Jacek Dukaj napisał o stanie wojennym książkę dla dzieci – dorosłą książkę dla dziecka w każdym wieku, w naszym wieku, XXI – a nie powieść dla młodzieży. Wroniec jest baśnią. Czarną baśnią. Jasne.

Ale czy to znaczy, że po stanie wojennym powieść dla młodzieży przestała być możliwa? Jak poezja po drugiej wojnie światowej? Wydaje się to zbyt proste. Bo przecież poezja była obecna. Wróciła wtedy. I chłopcy wrócili – po tamtej wojnie, po obozach, lasach i powstaniach – na podwórka i ulice. Do powieści dla chłopców. Może właśnie dlatego tak ochoczo i tłumnie, żeby to był powrót po tym wszystkim?

Makuszyński wrócił (nie bez kozery Szatana z siódmej klasy – wydany po raz pierwszy tuż przed wojną, w 1937 roku – wznowiono tuż po niej, w 1946). A Molnar był tu cały czas.

Ale cały czas rzekł w końcu, że minął. Że już nie ma chłopaków. Jakoś tak wtedy to powiedział, w latach 80. ubiegłego wieku.

Miał rację? Ale „miał” to też jest czas przeszły, więc trzeba by napisać: ma.

A może jest jeszcze inaczej. Zupełnie odwrotnie. I powieść dla młodzieży – jedyny w swoim +

32 CzasKultury 2/2011

A może powieść dla młodzieży – jedyny w swoim rodzaju produkt kultury PRL – stanowiła właśnie, mniej lub bardziej świadomy, mniej lub bardziej udany, sprzeciw wobec ówczesnej kultury?

rodzaju produkt kultury PRL (bo przecież wcześniej takiej powieści, w takiej formie, takiej masie u nas nie było) – stanowiła właśnie, mniej lub bardziej świadomy, mniej lub bardziej udany, sprzeciw wobec ówczesnej kultury? Czasem wyidealizowany, umalowany na Winnetou, ustrojony na wesołe przygody Robin Hooda, a czasem wariacki, przesadny w absurdzie, kolorowej grotesce, ale i w schematach, szalony po szczeniacku, uczniacku. Może w tym trzymaniu się żelaznej konwencji – zgodnej z wychowawczymi dyrektywami i prawami rynku, którym rządził także przydział papieru – była tęsknota za inną konwencją, innymi prawami? Może to właśnie była próba zatrzymania czasu, który minął? Przywrócenia świata, którego nie ma? Bo nigdy go nie było?

Konwencja powieści rycerskiej, opowieści z czasów, w których tak naprawdę – patrząc na prawdę historyczną współczesną tym czasom – nie było rycerzy. Byli w opowieściach. Mit Iliady, Odysei. Bohaterowie i ich przygody. Ich zwycięstwa i wędrówki, wytrwałość i odwaga,

wierność i zdrady wobec nich. Ich wrogowie, przyjaciele.

Czyż nie było tak zawsze, że tęsknota za takim mitem rodziła się z jego codziennego, powszechnego braku?

A że daleko od Rolanda do Paragona, od Odyseusza do Marka Piegusa? Daleko. Bardzo. No to co. Im dalej, tym bliżej.

♦

Nie umiem się prosto, dobrze wywikłać z tego zaprzeczenia zaprzeczeniu, jako że od początku chyba w mojej złości wobec powieści dla młodzieży więcej było żalu niż pretensji. Żalu, że jest nie moja. Że nie umiem się w niej odnaleźć. Naprawdę. Że nie potrafię w niej odnaleźć prawdy. Wspólnej, pokoleniowej, ale i mojej.

♦

Stosunkowo późno zrozumiałem, jak dalece książki Ryszarda Liskowackiego były opowieściami z jego życia. Opowieściami jego młodości, tamtej młodości. Możliwej, a niemożliwej zarazem.

Owszem, od dawna wiedziałem, że te najważniejsze, stanowiące cykle: Związek Sprawiedliwych (trzy tomy), Wodzu, wyspa jest twoja (plus Powrót na wyspę), My z Marymontu (trzy tomy) – wpisywały się jakoś w biografię mojego ojca. Ale początkowo nie było to dla mnie w ogóle istotne. Z czasem stało się nawet balastem lekturowym. Rozpoznawać ojca – chłopca – w bohaterach powieści? Nic fajnego. W fajnych książkach.

W końcu przeczytałem to jednak tak, jak nie potrafiłem wcześniej. Zdumiony, że to aż tak. Czytelne, a zarazem uwikłane. W opowieść prawdziwą, w życiorys realny i w jego warianty.

Pierwszy był Związek Sprawiedliwych i to w tej powieści właśnie – można rzec w dzisiejszej

polonistycznej manierze: powieści założycielskiej, wobec tego mitu, który rodził się z życia, z potrzeby opowiedzenia go tak, jak ono samo powinno się opowiedzieć, za nim, jego bohaterem i autorem – pojawiły się wszystkie wątki, które przenikały późniejszą osnowę. Tylu jego innych opowieści, powieści, wierszy.

W tym wątek najważniejszy, autobiograficzny: Adam, chłopiec, który przeżył powstanie warszawskie, utratę domu, tułaczkę wojenną – u końca wojny zjawia się na Lubelszczyźnie, w Krasnymstawie, u ciotki. Ze swoją opowieścią o płonącym mieście, swoimi kompleksami, ale też ideałami, i ze swą tęsknotą za zabranym przez wojnę ojcem.

Ośmiu Sprawiedliwych jest czerpaniem, nieco mechanicznym, z tego samego źródła, Wódz Sprawiedliwych to domknięcie cyklu.

Potem była Wodzu, wyspa jest twoja i dalszy ciąg – napisany jako kontynuacja jej sukcesu – Powrót na wyspę. Książki osadzone już w szczecińskich realiach (a osobistych o tyle, że ojciec był zagorzałym wędkarzem), porzucające wątek warszawskiego i krasnostawskiego dzieciństwa oraz młodości (akurat wtedy to ja byłem chłopcem i mnie dedykowana została pierwsza z tych książek). Traktujące chłopięce mity po trosze jako utopię, sympatyczną, lecz niejednoznaczną, zderzającą się z życiem. Można rzec, że były to właściwie antyutopie.

Ale na swoją wyspę wróci Ryszard Liskowacki w najobszerniejszej, wieńczącej beletrystycznie obrachunki z chłopięcą przeszłością (czyli przeszłością, w której było się chłopcem, a zarazem przeszłością przeżywaną po chłopięcemu) trylogii: *My z Marymontu*, *Z zielonych ulic na barykadę* i *Wracamy do domu* (znów powrót i dom – utracona wyspa). I choć potem była jeszcze seria zeszytów (wydanych później wspólnie, w jednym tomie) także lat wojny i okupacji dotycząca, zatytułowana zresztą znamienne *Historia dłuższa niż wojna*, to właśnie cykl *My z Marymontu* – legenda chło-

packiej, marymoncko-żoliborskiej, dziecięco-heroicznej, codziennie-wzniosłej przeszłości – zapisał go do końca, wpisał w czas, który minął. A mimo to był w nim nieustannie.

My z Marymontu rozpoczyna fraza podniosła, liryczna, bardzo osobista. Panorama i zbliżenie zarazem – kadru; i to bliskie, serdeczne: „[...] bo to był ich Marymont. To były ich ulice i podwórza, i podmiejskie łąki, i ogródki, gdzie obok róż dojrzewały soczyste pomidory, a rzodkiewki darzono takim samym szacunkiem, jak dorodne kwiaty czerwonej piwonii. Znali tu każdy kąt [...]”.

Wydany kilkanaście lat wcześniej (1960) tom opowiadań Ryszarda Liskowackiego – adresowanych do dorosłych, choć jego własna dorosłość, gdy powstawały, liczyła lat dwadzieścia parę – nosił tytuł *Powrót do piekła*. Zawarte w nim *Opowiadania warszawskie* dotyczą w istocie tych samych spraw, co *My z Marymontu*. Tyle że *My z Marymontu* to powrót do raj. Prawda, płonącego i spalonego, jak dom ojca przy ulicy Marii Kazimiery, ale przecież to, co płonie jako raj, zostaje rajem na zawsze.

♦

Adam i jego koledzy z założonego przezeń Związku Sprawiedliwych czytają, wrywając sobie tę książkę niemal – a i walcząc o nią dosłownie, jak w ostatnim rozdziale Związku Sprawiedliwych – Chłopców z placu Broni. Pojawia się ona i w trylogii *My z Marymontu*.

Ojciec też ją czytał w warszawskiej piwnicy podczas powstania.

♦

W Związku Sprawiedliwych, tak jak w tylu innych książkach dla chłopców, a i w filmach, które z nich wyrastały (najwcześniejszy z nich to chyba *Bitwa o Kozi Dwór* według scenariusza +

34 CzasKultury 2/2011

Józefa Hena, 1962) – i nigdy nie wyrosły – powieść Ferenc Molnara obecna jest na wielu poziomach. Od tych najprościej fabularnych – tu także chłopcy biją się z bandą chłopaków-intruzów o swe miejsce na ziemi (o swoją wyspę! A jakże!) – przez psychologię postaci (Kazio Wróbel, „największa oferra w klasie”, jest przywołaniem Nemezcza, i tak samo jak on dobija się swojego bohaterstwa czynem), po kształt powieściowej idei – braterstwa zrodzonego z walki, ze zwycięstwa nad własną słabością i tęsknot za ideą właśnie.

Warsztatowo Związek Sprawiedliwych – pierwszy tom cyklu – to chyba najsłabsza z „młodzieżówek” Ryszarda Liskowackiego. O przebiegu wydarzeń decyduje tu często przypadek, sytuacje są na ogół schematyczne, a rozwiązania prościutkie i przewidywalne. Sylwetki chłopców zdają się płaskie, nieoszlifowane literacko. Tylko Adam ma swą własną opowieść – reszta jest tłem, bez głębi.

Kolejne tomy cyklu chwytają w żagle wiatr powodzenia i popularności. Akcja w nich bardziej wartka, dowcip sytuacyjny i językowy bardziej złożony, dopracowany.

Ale prócz gatunkowych skaz i rażącego dziś, najdelikatniej mówiąc, kontrowersyjnego rysunku Zła (w Ośmiu Sprawiedliwych – wpisanych w powojenną rzeczywistość – chłopcy pomagają milicji złapać „bandytów” z lasu, okrutnych i bezwzględnych, będących najwyraźniej i po prostu antykomunistycznym podziemiem. Realia wskazują wprawdzie – i w prawdzie – na udokumentowane historycznie działania NSZ – nie AK! – ale perspektywa dzisiejsza te różnice i szczegóły zaciera, a wydzwięk całej opowieści jest przykry, polityczno-ideologiczny) łatwo w nich zauważyć odchodzenie od perspektywy osobistej, emocjonalnie autentycznej, w stronę literackiej konstrukcji, cudzej, „dorosłej” optyki.

Narrator opuszcza chłopców, już nie jest jednym z nich, nabiera dystansu, ironizuje, świadom swej roli narratora i życzliwego, lecz przede wszystkim mądrzejszego wychowawcy.

Chłopcy dorastają (tylko w Stumilowym Lesie czas biegnie po swojemu i raczej siedzi nad garnczkiem miodu, jak Kubuś Puchatek, niż mija; w książkach dla dzieci czas tak naprawdę nie dotyczy i nie dotyka bohaterów), a ich Związek – również dla nich samych – staje się, z biegiem lat i wydarzeń, mitem, opowieścią.

Znamienne jednak, że zarówno oni, jak i narrator, i ten, którego życie powołało do życia narratora, znajdują dla siebie sens i cel w kultywowaniu tego mitu, w ożywianiu go. Związek Sprawiedliwych, rozwiązywany i zmieniany w drużynę harcerską, odsuwany w przeszłość przez okoliczności i sypiący się gimnazjalistom wąs – jednoczy ich przecież i pozwala wracać do siebie. Do swojej sławy i chwały, swego ja. Z tej opowieści, która ich stworzyła.

Związek Sprawiedliwych, pierwsza z młodzieżowych książek Ryszarda Liskowackiego i pewnie najsłabsza, ma na swą obronę to właśnie. Opowieść początku, wiarę w jego fundament. A fundamenty budowane są przecież, muszą być budowane, na prawdzie. Mit bez prawdy jest tylko zmyśleniem.

♦

Kiedy przeglądałem któregoś razu papiery, które zostały w biurku mojego ojca, znalazłem wśród nich Statut Związku Sprawiedliwych. Nie konspekt, nie notatkę do powieści, lecz wypisany starannie na białym, wykaligrafowany kolorowym atramentem dokument. Dołączony był do niego list. Od chłopców z jakiejś szkoły, w jakimś mieście, którzy założyli swój własny Związek Sprawiedliwych.

Banalny wyraz hołdu dla lubianej książki lubianego autora? Przykład naiwnej, taniej wierności wobec wzorców, jakich dostarczała młodzieży popularna literatura? Zwłaszcza że młodzież – wychowana na takich książkach, podobnie jak na sygnowanych przez telewizję akcjach Niewidzialna Ręka (pieczętowało się tą czarną ręką dobre uczynki) i hełmofonach Czterech Pancernych – była podatna na owe wzorce, bo niewiele miała innych?

Niech będzie i tak. Ale jednak coś w sobie zachowam z tego, że ojciec zachował ten statut – błahostkę z przeszłości – pomiędzy papierami ważnych, poważnych listów i dokumentów.

♦

Gatunki literackie, czy też raczej ich formy, kształty, ewoluują przez lata i epoki. Powieść dla młodzieży jest zapewne – choć nie mnie o tym sądzić, wiedzą to może historycy literatury – kontynuacją, dalszym ciągiem przygodowych narracji z innych czasów, okresów. Jest na pewno. Bo była. A wszystko, co było, ma źródła w tym, co wcześniejsze jeszcze. Być może również – na pewno da się to udowodnić – ona sama znajduje swoją nową formę w postmodernistycznej magmie, która lepi dziś wszystko z wszystkiego. Ale jej samej już nie ma. Bo nas nie ma? Chłopaków, którzy jesteśmy cały czas?

Wracają do mnie te pytania – tak jak ja wracam dziś do tych książek. Z radością, ale i lękiem, że jeśli wracam, to znak, iż pora już na powroty. Bo nie ma niczego przede mną, żadnej nowej wyspy.

♦

Czy odyseja może być odchodząca? Właściwie powinna być odpływająca, jeśli już meta-

fora przywołuje Odyseję. Ale to przecież nie Itaka, nie wyspa odpływa. Itaka jest. Zawsze jest. Tylko trzeba do niej wrócić. I tylko odyseja się oddala, odchodzi. Odchodzi w niepamięć, a może właśnie w pamięć. Że była taka Itaka. Możliwa. Bliska.

Chłopaki, pójdę z wami, co? ○

STANISŁAW ROZWADOWSKI (ilustr.)
Ryszard Liskowacki, *My z Marymontu* (1981)
[s. 22]

WŁODZIMIERZ BARTOSZEWICZ (ilustr.)
Ryszard Liskowacki, *Związek Sprawiedliwych* (1971)
[s. 30]

WŁODZIMIERZ BARTOSZEWICZ (ilustr.)
Ryszard Liskowacki, *Wódz Sprawiedliwych* (1971)
[s. 35]

